

The background of the poster is a deep blue space filled with stars. At the top, a large, dark, cratered celestial body, possibly a moon or planet, looms over the scene. In the center, a massive, complex space station or battleship is shown, illuminated by its own lights and the ambient blue light. Below the station, a large formation of fighter jets is flying. In the foreground, two jets are prominently displayed, one slightly ahead of the other, both angled towards the viewer. The jets have a greenish-grey base color with red and white markings. The overall atmosphere is one of high-tech military action in space.

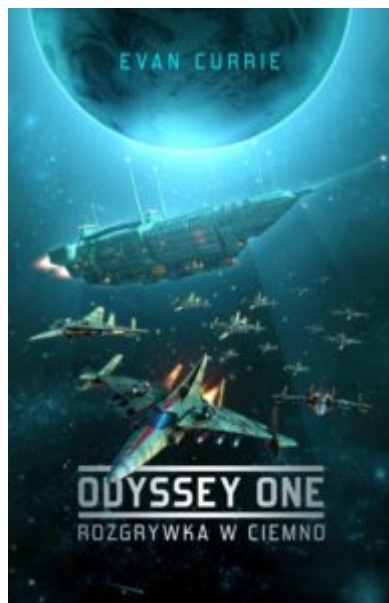
EVAN CURRIE

ODYSSEY ONE

ROZGRYWKA W CIEMNO

Na skrzydłach tachionów!

A.Mason



Evan C. Currie

Odyssey one. Rozgrywka w ciemno

Tłum.: Michał Studniarek

Drageus Publishing House 2013

Liczba stron: 560

Cena: 39,90 zł

Wydawnictwo Drageus z podziwu godnym uporem serwuje nam kolejne pozycje z gatunku space opera. Po przeznaczonych dla najmłodszych nastolatków Złodziejach planet i doroślejszej serii Star Carrier, przyszła pora na początek kolejnej popularnej w USA serii, tym razem Odyssey One Evana Curriego. Rozgrywka w ciemno, pierwszy tom cyklu, nastroja dość optymistycznie.

Nic nie zapowiada, że załoga statku naukowego dalekiego zasięgu Odyseja, zaliczającego pierwszy lot, przeżyje spektakularne przygody. Najbardziej niesamowitą rzeczą w ich codziennej rutynie jest supernowoczesny napęd międzywymiarowy, umożliwiający podróż z prędkością niemal dorównującą świetlnej, a to dzięki pomysłowemu zastosowaniu tachionów. Wszystko ulega zmianie, gdy napotykają w kosmosie nieznany ziemskiej flocie, wyglądający na opuszczony statek, noszący znamiona walki. Po wejściu na pokład wraku znajdują z mumifikowane zwłoki, a także jedną żywą kobietę. Jak się szybko okazuje, nie była na obcym statku jeńcem, ale jest przedstawicielką cywilizacji, do której ów okręt należy, na pozór niczym się od homo sapiens nie różniącej. Nie wiadomo tylko, która rasa jest odnogą której. Załoga Odysei stanie przed trudnym wyborem: czy ingerować w wojnę toczącą się pomiędzy nowo poznanym gatunkiem a bezwzględными Drasinami, którzy mogą przez to stać się śmiertelnym wrogiem ludzkości?

Na zachodzie powieść była promowana jako pierwszorzędna hybryda tradycyjnej space opery i nowoczesnej SF. Rzeczywiście, autorowi udało się odtworzyć trochę magii klasycznej pulp science

fiction, choć chyba głównie tej filmowej. Stało się tak za sprawą opisów wielu wydarzeń, od których niejeden fizyk miałby ochotę rwać włosy z głowy całymi garściami. Czy swojej, czy pana Evana Curriego, nie jestem pewien. Mamy tutaj choćby widzialne w kosmosie promienie laserów i eksplozje, czy też wybuchową dekompresję, przed którą łatwo się uchronić, łapiąc mocno za poręcz, podczas gdy przy innej okazji taka dekompresja potrafi wypruć w kosmos stalowe wnętrza, a także wiele innych nedorzecznosci, charakterystycznych dla space opery. Niektórzy czytelnicy z pewnością będą zdania, że autor chyba nieco za bardzo wziął sobie do serca te nostalgiczne ciągoty, wszak literatura rządzi się innymi prawami. Co urocze na dużym ekranie, niekoniecznie musi dobrze się prezentować na papierze, chyba że mówimy o komiksie. Mnie taka wizja kosmicznej fantastyki w starym stylu przypadła do gustu bez większych zastrzeżeń.

Niektóre decyzje Curriego są natomiast bezdyskusyjnie chybione. Nie dziwi mnie jego tendencja do czynienia aluzji do takich kamieni milowych militarnej science fiction, jak Żołnierze kosmosu Heinleina, czy klasycznych filmów z tego gatunku, jak Obcy: decydujące starcie – kwasokrwiste xenomorphs doczekują się żartobliwej, niebezpośredniej wzmianki. Także wejście na pokład opustoszałego wraku jako żywo przypomina analogiczną scenę z kultowego w niektórych kręgach Ukrytego wymiaru. To jest jak najbardziej do zaakceptowania, jednak odmalowywanie obrazów w umyśle czytelnika za pomocą filmowych skojarzeń poszło w kilku miejscach zdecydowanie za daleko. Currie pisze na przykład, że oczom bohaterów ukazał się „widok rodem z filmów fantastycznych”, albo że jakaś „scena [...] przypominała fragment filmu akcji”. Po przeniesieniu się walk na powierzchnię planety, pewna sceneria „robiła wrażenie wyjętej ze starego horroru” (Starego dla kogo? Dla nas, czy dla żyjących w odległej, na wskroś tachionowej przyszłości bohaterów?). Jeśli już pisarz stara się ewokować obrazy mocno kinematograficzne, nie powinien robić tego w taki bezpośredni sposób, bo w gruncie rzeczy zmusza odbiorcę do tworzenia w głowie własnych opisów.

Niefortunne sformułowania na tym się nie kończą. Na którejś stronie autor informuje nas, że gdy działko myśliwca otworzyło ogień, „Jego ryk nie rozległ się w kosmosie” – nie jest to bardzo użyteczna informacja, szczególnie, że akcja rozgrywa się w próżni, a poza tym – po co w ogóle pisać o czymś, czego nie było? Niedługo potem narrator odkrywa przed nami, że „Kosmos nie jest w końcu tak pusty, jak sądzi większość”, i jeszcze dodaje, że „Zawsze coś gdzieś tam jest”. Takich mało odkrywczych stwierdzeń niestety jest w książce kilka. Ale nie zrażajmy się tym, większość Rozgrywki w ciemno to bardzo udana lektura, a niektóre pomysły fabularne robią wręcz ogromne wrażenie.

Błyskawiczna podróż statkiem, który rozpada się na strumień tachionowy, by potem zrekonstruować cząsteczkę po cząsteczce, to nie sielanka. Stosowany napęd budzi wśród załogi zrozumiałą trwogę, a kto straci przytomność przed jego uruchomieniem, jest przez pozostałych uważany za szczęściarza. Niektórzy członkowie załogi wskutek sposobu podróżowania potrzebują nawet konsultacji psychologicznej. Niełatwo jest ludzkiemu umysłowi przetworzyć widok wnętrza statku, rozkładanego przez cząsteczki tachionów na czynniki pierwsze, co do złudzenia przypomina proces destrukcji. Coś tak błahego jak stan nieważkości również przyczynia się do często opisywanych dolegliwości. Sądzę, że jeden opis ciężkich wymiotów wystarczyłby w zupełności – Evan Currie był jednak innego zdania i z dużym uporem serwuje w tekście sporo takich przypadków. Ewidentnie chciał nas upewnić, że życie załogi Odysei do lekkich nie należy.

Ciekawym aspektem powieści jest obsesja autora, aby niemal każdy futurystyczny gadżet opierał się na tachionach. Oprócz wspomnianego tachionowego napędu międzywymiarowego mamy tutaj tachionowe generatory, skanery i sensory, załoga korzysta z tachionowych danych telemetrycznych, pozyskiwanych za pomocą tachionowych fal, sygnałów i impulsów, a komunikować się może za pośrednictwem „tac-netu” – który jest tachionową siecią błyskawicznej łączności. A nad wszystkim czuwają, rzecz jasna, tachionowi specjaliści. Przyznam, że w pewnym momencie zaczął mnie intrygować ten tachionowy fetysz. To zastanawiające, że taka, bądź co bądź hipotetyczna, cząstka elementarna może aż tak pobudzić czyjąś wyobraźnię. Co prawda, science fiction z założenia polega

na teoretyzowaniu na tematy (jeszcze) niepotwierdzone, jednak zazwyczaj praktykuje się to z jakimś umiarem, przynajmniej w stosunku do większości elementów takich teorii. Tutaj jednak Currie puścił zupełnie wodze fantazji, czyniąc z tachionów cudowny środek właściwie na wszystko – zabrakło chyba jedynie tachionowej pasty do zębów i tachionowej maszyny do wyrobu filmu. Bynajmniej nie piszę tego złośliwie, wręcz przeciwnie, ten leitmotiv jest na swój sposób urzekający, chyba wolałbym jednak, żeby autor sięgnął po inne pomysły z tej samej palety. Ja na przykład chętnie dowiedziałbym się, co począłby z akurat moimi ulubionymi hipotetycznymi cząstkami elementarnymi, czyli grawitonami. Bo już taki napęd grawitacyjny został w książce potraktowany doprawdy po macoszemu: doczekuje się czasem okazjonalnej wzmianki i to wszystko. Ogólnie mam wrażenie, że Currie używa trochę za dużo naukowego (a może raczej "naukawego"?) żargonu, zwłaszcza w pierwszej połowie powieści. Na dłuższą metę może to odrzucić czytelnika, a i tak zbyt realistyczna ta książka nie jest, choć w jej podgatunku nie stanowi to wady.

Jak widać, trochę się tych problemów nabierało, ale nie znaczy to, że początek cyklu *Odyssey One* należy uznać za nieudany. Wręcz przeciwnie, zalet również jest niemało, na czele z tą, iż książkę czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem, a jej usterki, zamiast frustrować, zazwyczaj raczej intrygują. Currie dobrze sobie radzi z piórem (nie licząc wymienionych drobnostek) i nawet koncepcje, delikatnie mówiąc, niemądre potrafi przedstawić jako dynamiczną rozrywkę, przy której na ogół nie ma czasu na czepianie się chybionych detali, a także na zbyt intensywne główkowanie. Bądźmy szczerzy, wszystko, co wydawca obiecuje na okładce – kosmiczne pościgi, potyczki myśliwców, bezpośrednie, a dzięki temu bardziej ekscytujące walki na lądzie – zostaje czytelnikowi podane w ogromnych ilościach, a więc nie można się skarżyć na niespełnione obietnice i brak silnych wrażeń. Fabuła jest co prawda momentami nieco oklepana, ale odbiorca sięgający po opowieść w starym stylu raczej powinien być na to przygotowany. Jeśli powieść licząca sobie niemal 600 stron nie nudzi, już sam ten fakt należy uznać za sukces.

Dlatego też trzymam kciuki za konsekwentną inicjatywę Drageusa, by przychylić nam nieco głębokiego kosmosu, i za powodzenie książek Evana Curriego w Polsce. Gdyby jeszcze tylko tom drugi serii nie trzymał się tak kurczowo tematyki tachionowej... Nie liczyłbym na to, że autor specjalnie dla mnie zacznie eksploatować zagadnienia związane z grawitonami, ale co tam – nikt nie zabroni mi marzyć.

Patryk Cichy